Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – afrykanista i poeta

Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej oraz polski poeta i Margaret Laurence (1926-1987) – dziennikarka i ceniona pisarka kanadyjska, fot. arch. „Nowego Dziennika”.

Florian Śmieja

Kiedy przed laty szedłem z Bogumiłem Andrzejewskim elegancką ulicą londyńską Strand, zaczął trąbić i zatrzymał się koło nas rasowy samochód, a jego pasażerowie z okrzykami radości uprowadzili mojego towarzysza z sobą. Byli to wysokiej rangi członkowie rządu somalijskiego, którzy rozpoznali swojego wielkiego przyjaciela i dobroczyńcę, ba, jednego z ojców zreformowanego języka somaljskiego.

Wtedy w Londynie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rojno było od niezwykłych rodaków zamieszkujących czasowo angielską metropolię. Pamiętam, jak po żonę, elegancką blondynkę, przychodził po wykładach Polskiego Uniwersytetu Na Obczyźnie postawny Marian Nowakowski, bas królewskiej opery Covent Garden, co obserwując bliżej wnioskowaliśmy, że w domu śpiewał innym głosem; w czytelni biblioteki British Museum furczał czerwony na twarzy zwalisty Stanisław Cat-Mackiewicz, szukając śmiałka, który się odważył wypożyczyć jego ulubioną lekturę, „Herbarz” Bonieckiego; ktoś chwalił się,

że widział brzoskwiniowej cery generała Mariana Kukiela zaręczając, że wyglądał jak żywy; w okolicach Russell Square spotykałem nieśmiałego poetę i afrykanistę, Bogumiła Witalisa Andrzejewskiego. Przedstawił mi go mój ówczesny szef, dr Jerzy Pietrkiewicz, który go znał od 1944 roku.

Część obowiązków młodego lingwisty Andrzejewskiego polegała na skrupulatnym zapisywaniu głosów Somalijczyków w ciasnym biurze mieszczącym się naprzeciwko nieomal lokalu wydawnictwa Faber and Faber, do którego regularnie przychodził wtedy jeszcze T.S. Eliot. Ponieważ kamienica, w której uczyłem, również znajdowała się przy Russell Square, bardzo mnie radowało zacne sąsiedztwo. Pietrkiewicz wspomina o pieczołowicie nagranych taśmach, które dziś przechowuje amerykański uniwersytet Indiana. Także sam autor mówi o nich w wierszu:

Jedni po bibliotekach siedzą nad książkami.

Inni po starych rękopisach wodzą błędnym okiem

A ja teraz trwam w pobliżu Russell Square pochylony w nasłuchu

Prawie rybim, nad koliskami magnetofonowych taśm.

Wiem, że to już był dalszy etap pracy, bo jeszcze pamiętam Bogumiła nagrywającego na drucik, pierwsze nagrania, jak zapamiętałem, były na zwojach drutu. Lecz nie tylko nagrywał, zachwycał się także egzotycznym językiem:

O jak piękne dźwięki wykształcili nasi bracia z pustyni i puszcz

W swych rozlicznych mowach!

Słucham, a tu biją

Metaliczne samogłoski, mocne jak z gardzieli spiżowego wołu..

Pokochał nie tylko język tak odmienny, ale dostrzegał również jego bogactwo i sprawność, w odróżnieniu od ludzi, którzy nie zadawali sobie trudu, by go gruntownie poznać, on natomiast przepłynął „na drugą stronę semantycznego Styksu”. W liście do Pietrkiewicza z Somalii wraz z rękopisem wiersza „Kraje legendarne” informował: „Pieśni, które śpiewają na wieczornych zgromadzeniach są tak czarujące i jak chodzi o melodie, i

poetyckość słów i rytm. Człowiek słuchając zatraca poczucie rzeczywistości i zdaje się, że śni.”

Bogumił Witalis Andrzejewski urodzony w Poznaniu w 1922 roku, uszedł z Polski kiedy wybuchła wojna i zawędrował do Palestyny. Jako żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich bronił Tobruku w 1941 roku i tam został ranny oraz debiutował jako poeta w prasie żołnierskiej. Obserwując nocami niebo zanotował w „Dziwach niebieskich w Tobruku”: „Pustynia pod sklepieniem nieba. Gwiazdy błyszczą. Ale są bardzo dalekie. Gwiazdy są samotne, pustynia jest bezdomna.” Z pomocą obleganym pospieszyła polska rezerwa z Egiptu, w tym mój Teść, który w swoim pamiętniku opisał niefortunną wyprawę, która po zbomardowaniu przez niemieckie lotnictwo, musiała zawrócić do Aleksandrii.

Dziesięć lat później ta jałowizna pustynna miała zawezwać do siebie adepta języków kuszyckich, a szczególnie języka somalijskiego. Jako absolwent Oksfordu pojechał na stypendium do Afryki, którą miał potem jeszcze odwiedzać trzynaście razy, w tym trzykrotnie na całoroczne pobyty.

W czasie pierwszej naukowej wyprawy w latach 1950-52 poznał młodą kanadyjską dziennikarkę, która później miała stać się wybitną pisarką, Margaret Laurence (1926-1987), wraz z mężem inżynierem znalazła się wtedy w Somalii, wówczas

jeszcze brytyjskim protektoracie.

Margaret, osierocona przez matkę, kiedy miała cztery lata, pozyskała wspaniałą macochę w ciotce swojej, a siostrze matki, która będąc nauczycielką angielskiego, a później bibliotekarką, wcześnie już zachęciła ją do czytania i pisania. Pisać zaczęła jeszcze w szkole, a także ogłaszać pierwsze teksty. Po ukonczeniu filologii angielskiej została dziennikarką w prowincji preryjnej Manitoba. Po poślubieniu inżyniera, pojechała wraz z nim na kontraktową pracę do Afryki, gdzie powstały jej pierwsze książki o tematyce związanej z Czarnym Lądem.

Laurence jest autorką szesnastu książek, z których najważniejszy jest cykl powieści „Madawaka”, nazwany tak od jej domku letniego w Kanadzie. Do nich zalicza się najgłośniejsza powieść „Kamienny anioł”, której bohaterka, starsza kobieta, wspomina swoje długie życie malując z maestrią krajobraz i obyczaje wsi w Manitobie na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Kanadyjka, dzięki spotkaniu z Andrzejewskim w Somalii poznała somalijską literaturę ustną i z jego zachętą i wydatną pomocą zaczęła tłumaczyć fragmenty tej literatury na język angielski. Tak powstała jej pierwsza książka, “A Tree for Poverty” (Drzewo biedoty), zbiór przekładów poezji i prozy somalijskiej z obszernym wstępem.

„Miałam szczęście poznać Goosha Andrzejewskiego. Polaka, który tu się znalazł z żoną Angielką, by studiować język somalijski” – tak pod datą 4 września 1951 roku pisała Margaret Laurence do swojej przyjaciółki Adeli Wiseman w Kanadzie z miejscowości Hargeisa, stolicy administracji brytyjskiej.” Jest on czymś w rodzaju eksperta od języka somalijskiego i jest bodaj jedynym Europejczykiem, który z nimi potrafi rozmawiać na różne tematy w tym na podstawowe jak miłość, wojna itd. Jego asystent Musa Ismail (Galaal – przyp.FS), Somalijczyk, jest wielkim miłośnikiem literatury somalijskiej”.

W wydanej w 1963 roku książce podróżniczej „Wielbłądzi dzwonek Proroka” znajdziemy wiele szczegółów autobiograficznych, a także nawrót do spotkania autorki z Andrzejewskimi. „Guś (jego prawdziwe imię brzmiało Bogumił a zdrobnienie wymawia się goosh) był Polakiem, mężczyzną wysokim, o pogodnej i prawie orientalnej twarzy, wysokich kościach policzkowych, nieco skośnych oczach. Był poetą w swoim ojczystym języku.

– To prawda, ale co mi z tego? – powiedział z głęboką słowiańską melancholią.

W Polsce nie można mojej poezji drukować a kogo w Anglii obchodzi wydawanie wierszy pisanych po polsku?

Jego nastrój zmieniał się jak wahadło. Niespodziewanie wybuchał śmiechem oferując nam somalijskie dowcipy albo i własne zabarwione lekką makabrą. Językiem somalijskim władał swobodniej niż jakikolwiek Europejczyk w kolonii, bo przybył badać język somalijski i jego fonetykę.

Sheila, żona Gusia, była ładną i zdolną Angielką. Wszystko robiła bez najmniejszej ostentacji, tak że dopiero po upływie pewnego czasu stawało się jasne, że była chyba jedyną w kolonii Angielką, która sama gotowała.

– Lubię gotować – mówiła – więc dlaczego nie miałabym gotować’?

Guś jadł zachłannie, ale nigdy na wadze nie przybierał. Podczas wojny, kiedy uciekał z Polski, często, przymierał głodem. Kiedy wreszcie dotarł do Anglii, wstąpił do Wolnych Polskich Sił Zbrojnych, a po skończeniu się wojny poszedł na studia do Oksfordu. Teraz gotowała dla niego Sheila z czułością, jakby mu chciała zadośćuczynić za wszelkie prywacje, które wycierpiał. Wszystko gotowała na malenkim prymusie, a potrafiła nawet przemyślnie upiec ciastka, które nazywała biskwitami, robiąc z patelni piekarnik.

– Nie czuję się żadną panią – przyznała.

Ja czułam to samo. To odkrycie bardzo nam dodało otuchy”

W korespondencji z 1963 roku Laurence napomknęła, że Guś Andrzejewski wywierał na nią bardzo dobry wpływ.

Przyjaźń z Andrzejewskimi trwała i tak po przyjeździe Margaret Laurence do Anglii donosiła ona w liście z 25 kwietnia 1965, że często widuje się z Gusiem i Sheilą, że akurat ubiegłego wieczoru u nich była. “Guś należy do najdzielniejszych i najlepszych. Nigdy nie zapomnę, kiedy tu przyjechałam dwa i pół roku temu, jak próbował bardzo, bardzo taktownie dodać mi otuchy opowiadając mi przysłowia: ‘Wśród ludzi Barona Gallo, jest powiedzenie…’ Jego przekładami posłużyłam się w artykule o Szalonym mulle’’. Jeszcze w liście do Andrzejewskiego z 25 listopada 1971 roku usprawiedliwiając niemożność przyjazdu do Londynu nawałem pilnej pracy, zapraszała do siebie na weekend.

Pisząc o twórczości Margaret Laurence Clara Thomas podkreśla, że jej technika pisarska wiele zawdzięcza Afryce, ucho autorki wyczuliło się na subtelne odcienie znaczenia podczas słuchania somalijskich opowieści oraz ich komentarza i obróbce literackiej z tłumaczem, którym jak wiemy, był w pierwszym rzędzie Bogumił Andrzejewski, nie tylko znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej, ale także oryginalny polski poeta.

„Drzewo biedoty” powstało w pośpiechu. Laurence nie znała języka somalijskiego i nigdy się go nie nauczyła dostatecznie, ale z młodzieńczą pasją i wielką ambicją paliła się do odkrywania nowego obszaru zainteresowania. Argumentowała, że obecni w kolonii Brytyjczycy nie wiedzieli nic o istnieniu literatury somalijskiej i że należało im tę lirykę i epikę pokazać jak najszybciej.

Spytawszy Musę, czy by nie można było przełożyć próbek tej ustnej literatury, o której słyszała, na język angielski, spotkała się ze stanowczym zaprzeczeniem. Andrzejewski natomiast, choć również powściągliwy, takiej możliwości nie wykluczał i zgodził się pomóc. Margaret wnet mogła napisać, że przystępuje do pracy troje ludzi: ona, Musa i Andrzejewski.

Wspólne przekładanie odbywało się w następujący sposób: „Musa znał wiele *gabei* i *below*, posiadał też bogatą znajomość tła i stylu poezji somalijskiej. Choć jego znajomość angielskiego była dobra, musiał subtelność słów przedyskutować z Gusiem po somalijsku. Guś i ja z kolei omawialiśmy te wersy po angielsku a ja notowałam znaczenia dosłowne, implikacje słów, odnośniki do somalijskich tradycji lub obyczajów. Wtedy byłam w stanie później pracować nad tymi materiałami i próbować ułożyć je w formę zbliżoną do wiersza przy maksymalnym zachowaniu znaczenia i ducha oryginału. Dużo było tekstów poetyckich, które mogliśmy przygotować, ale czas był ograniczony, więc

ruszyliśmy zaledwie powierzchnię.”

Lawrence zakończyła pracę edytorską wierszy dostarczonych jej przez Andrzejewskiego i Musę i wzięła się za prozę. Niektóre opowiadania otrzymała w formie dokładnego przekładu również od nich. Te dosłowne wersje próbowała następnie oddać po angielsku dbając o zachowanie jak najwięcej dramatyzmu oryginału. Ponieważ inne opowiadania słyszała od Somalijczyków po somalijsku lub po angielsku, a więc niepełnie, zostały one sparafrazowane, choć autorka zaręcza, że wiele z tonu i ducha udało jej się zachować. Skarżyła się przy tym że odkąd zabrakło Andrzejewskiego i Musy, nie było nikogo, kto by znał na tyle angielskiego, by dokładnie tłumaczyć.

Była zadowolona z rezultatów zorganizowanej pospiesznie współpracy, gdyż ubolewając nad stratą pomocników, dodała: „Ale udało mi się, nim wyjechali, uzyskać dosłowne tłumaczenie wielu wierszy i opowiadań. Obecnie jestem w trakcie przetwarzania ich na , mam nadzieję, literacką angielszczyznę!” Wyjaśnia proces przekładania starając się zachować wierność i wstrzymać się od dodawania swoich wtrętów, zapewnia przy tym, że każde słowo dodane, wynika jakby z ducha utworu.

Pisząc do tej samej przyjaciółki 8 czerwca 1953 roku donosiła, że „Guś Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych

przysyła mi dalsze dosłowne przekłady wierszy, nad którymi pracuję. Bierze się teraz za bardziej złożone i długie somalijskie gabei, które będąc znakomite po somalijsku, są okropne dla tłumacza, by uzyskał rezultat w przybliżeniu podobny do oryginału. Cieszę się niemniej przeto, że nad nimi pracuję, tak dla samych utworów, jak dlatego, że utrzymują mnie na bieżąco w somalijskiej formie myślenia i wyrażania się."

Choć publikując swoją pierwszą książkę Lawrence opatrzyła ją podziękowaniem i jasnym stwierdzeniem, że „Te przekłady nie powstałyby bez szczodrej pomocy Musy Haji Ismaila Galaala oraz B.W.Andrzejewskiego, którzy dostarczyli mi dosłownych przekładów wierszy i tłumaczeń dokładnych opowiadań..." wyczuwam powstanie pewnego nieporozumienia między Andrzejewskim i Laurence. Różnica zdań mogła była wyniknąć z powodu pisowni oryginałów somalijskich. Prosiła o nie Laurence w liście z 21 lipca 1951 roku, kiedy Andrzejewscy pakowali się, by powrócić do Anglii. Nas zainteresują szczegóły warsztatu translatorskiego Kanadyjki.

„W związku z *balwo* na temat zębów dziewczyny przypominających kawałek białej kory, zauważcie, że dodałam linijkę niż było w somalijskim. Niemniej nie dodawałam niczego jeśli chodzi o znaczenie a jedynie dodałam frazę o drzewie *galol* oraz drobiazg o Zailah. Postąpiłam tak, gdyż a) kora pochodzi z drzewa galol i wydawało mi się bardziej jasne niejako. Jest ono w

wierszu i tak implikowane; b) wers o perłach Zailah… Pamiętam, Sheilo, że gdyś o tym rozmawiała z Omarem, myślałaś ze miał na myśli perły. Skoro więc one były w założeniu (I w rzeczy samej wypowiedziane) w wierszu, dodałam w Zeilah, myśląc, że pośrednio to było implikowane i dodało atmosferze wierności. To był trudny wiersz, bo po angielsku ludzie nie mówią o zębach kobiety, chyba że reklamując pastę do zębow. Dlatego czułam, że trzeba to zrobić bardziej egzotyczne nieco i osobliwe niż spotykamy zazwyczaj w poezji somalijskiej. Obraz byłby do przyjęcia, gdyby stanowił część zupełnie innej kultury, ale nie gdyby oddać go w realiach zupełnie angielskich. Dlatego też użyłam 'Allah' zamiast 'Bóg'. Mam nadzieję, że się z tym zgodzicie, w każdym razie, będę z zainteresowaniem czekała na wasz komentarz i krytykę…"

List Laurence z Somalii datowany 22 kwietnia 1953 nawiązuje do poprzedniej korespondencji, w której były jakieś zgrzyty. Pisze apologetycznie: „Ogromnie ubolewam, jeśli mój list był nieco opryskliwy. Tak na prawdę to, nie chciałam. Obawiam się, że zwykłam przesadnie bronić tego, co sama zrobiłam i w rezultacie mogę się wydać grubiańska. Gusiu, szanuję Twoją radę. Doceniam z pewnością argument wzmiankowany w ostatnim liście o wielkiej wadze opinii publicznej w Twojej pracy i zupełnie się z nią zgadzam. Cieszę się, że jednak dostrzegasz mój punkt widzenia, jeśli idzie o tę szczególną książkę i jej zadanie. Tłumaczyłam panu Shirleyowi.

Niemniej sprawę ortografii, który rozumie Twoje uczucie. Rzekł, że jest zdania, żeby wiersze somalijskie wydrukować bez somalijskich oryginałów. Jasno pojmował, że nie chciałbyś niczego drukować w Somalii, co by nie było w absolutnej zgodzie z nową ortografią. W związku z tym przeglądnęłam skrypt i sprawdziłam wszystkie nazwy szczepów i miejscowości pisząc je wedle starego systemu…”

Kanadyjka powodowana młodą ambicją i niecierpliwym egotyzmem dążyła do szybkiego efektu, natomiast Guś, weteran kampanii libijskiej, niezupełnie uleczony z rany odniesionej pod Tobrukiem a jednocześnie subtelny poeta, który dopiero co wszedł na ścieżkę prawości badacza naukowego, dokładnego dbał o najwyższy respekt dla oryginału zarówno jako subtelny lingwista oraz prawdziwy poeta.

Dla niego najważniejsza była właściwa, nowa ortografia, skoro był jednym z jej twórców i propagatorów na cały kraj a jego wkład został oceniony przez władze, które nadały mu Order Gwiazdy Somalijskiej w 1988.

Przed laty Andrzejewski podarował mi egzemplarz przełożonej przez siebie na język angielski powieści somalijskiej „Ignorance is the Enemy of Love” (Ignorancja jest wrogiem miłości). W przedmowie do niej podkreśla on swoje kryteria dobrego przekładu. Obstaje przy wysokim stopniu wierności

tekstu, zaręcza też, że nie pozwala sobie na niewskazane swobody nawet w miejscach, które mogłyby przyczynić się do łatwiejszego czytania przekładu, czy przybliżenia go do wyimaginowanego standardu oczekiwanego od powieści pisanej po angielsku. Szczególną troskę poświęcił zachowania obrazowania poezji, nie próbując imitować jej systemu aliteracyjnego, a tym bardziej układu rytmicznego. Jego zdaniem różnice między tymi językami skazywałyby takie próby na dziwaczne efekty i nałożyły niemożliwe restrykcje na dobór i układ słów.

Kiedy w 1970 roku ukazał się reprint pierwszego wydania „A Tree For Poverty" z Nairobi z 1954, Margaret Laurence dodała nowy wstęp, w którym przypomniała, że przekłady powstały już w 1952 roku. „Sądzę, że gdybym wtedy rozumiała trudności przekładania literatury, nie podjęłabym się go. Ale człowiek młody i naiwny próbuje wszystkiego i może nie jest to takie złe. Te przekłady są amatorskie i od tamtego czasu powstały liczne inne przekłady literatury somalijskiej, o wiele bardziej naukowe i bardziej dokładne niż te. (Wiele tych późniejszych przekładów dokonał dr B.W.Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych i Afrykańskich w Londynie, który jako młody lingwista zaczynający studia w Somalii, był jednym z moich współpracowników a dziś jest czołowym autorytetem w materii języka i literatury somalijskiej)."

Dla mnie te słowa brzmią jak apologia za niecierpliwe i pochopne pociągnięcia młodej Laurence, żądnej pierwszych sukcesów pisarskich, nie rozumiejącej ostrożności i respektu dla dociekań naukowych oraz szlachetności charakteru utalentowanego polskiego współpracownika. Pewną satysfakcję mogła jej przynieść antologia „The Penguin Book of Oral Poetry", (London 1978), która dając kilkanaście przekładów B.W.Andrzejewskiego, umieściła również cztery wersje M.Laurence z „A Tree for Poverty".

Zapewne polski czytelnik zauważy niepewność polskiej faktografii zarówno w wypowiedziach Margaret Laurence, jak u jej biografa, Jamesa Kinga. Wnioskuję, że Laurence nie znała dokładnie przejść Andrzejewskiego, inaczej wspomniała by jego kampanię pod Tobrukiem, a także pobyt w Palestynie. Wolne Polskie Siły Zbrojne bardziej pachną wiadomościami o Francuzach.

Pojawienie się Andrzejewskiego w polskiej prasie na Zachodzie pomylono z drukowaniem w Polsce. Autor zresztą, tylko rzadko drukujący w paryskiej „Kulturze" i londyńskich „Wiadomościach" pozostał pisarzem niedocenionym mimo zdobycia w 1970 roku nagrody „Wiadomości" i nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz wydaniu dwu zbiorów poezji „Na wszelki wypadek" (Londyn 1952) oraz „Podróż do krajów legendarnych" (Londyn 1986). Ta ostatnia pozycja ukazała się

również w Polsce w 2000 roku (Agawa) ze szkicami o autorze Czesława Miłosza i Jerzego Pietrkiewicza.

Miłosz napisał o nim:

„Uważam go za jednego z poetów znaczących, lepszych niż niejedna postać o głośnym nazwisku, mająca swoje monografie i wydania dzieł zebranych. Na szczęście dla siebie nie bardzo troszczył się o laury i ubawiłoby go chyba, gdyby usłyszał, że ktoś chce go umieścić w świątyni sław naszego stulecia. Pisał wiersze dla własnej przyjemności, w chwilach wolnych od zajęć, by tak rzec, poważniejszych…”

Bogumił Witalis Andrzejewski zmarł w Anglii w 1994 roku nie doczekawszy się spełnienia marzeń, by kłusować na wielbłądzie w ceremonialnej uprzęży Alejami Jerozolimskimi w Warszawie. Somalia zawdzięcza mu uporządkowany nowoczesny język, alfabet i zasady ortografii.

Pierwodruk: „Przegląd Polski”, dodatek do „Nowego Dziennika”, luty 2012 r. Tekst ukazał się pod tytułem „Somalijskie koneksje”.

Transformator obciążony

Bogumił Witalis Andrzejewski z żoną Sheilą

Florian Śmieja

Bogumił Witalis Andrzejewski bawi się prądem elektrycznym

Przed laty poeci awangardy z wielką euforią odwróciwszy się od sielankowego krajobrazu dawnej poezji, jako od obmierzłych

staroci, zaczęli zamiast wsi urokliwej do swoich wierszy pakować miasto i wszelkie jego atrybuty nowoczesności i postępu. Odstawiwszy konia i rumaka polubili automobil i aeroplan. Fascynacja mechaniką kazała im na piedestał postawić maszynę, jako wielkie osiągnięcie ludzkiego umysłu, wyręczycielkę od nadmiernego wysiłku, monotonnych ruchów i wielokrotnych powtórzeń, jako skuteczną wybawicielkę od mozolnych obowiązków. Ta przydatność wydała się piękna, przygoda konstruktorów udzieliła się literatom, poeci zaczęli ją brać za obiekt kontemplacji i przedmiot swoich kompozycji.

Nieraz dzieje się to z małą domieszką humoru. i tak Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-94) zmarły w Anglii afrykanista i poeta, przypomina niedawne jeszcze sposoby ogrzewania naszych domów gazem dostarczanym przez automaty przyjmujące monety. Zanotował dla potomności, jak to w Anglii:

Gazomierzowi ze zmartwienia

Szyling stanął w gardle

Ten poeta akurat miał większe jeszcze nabożeństwo do maszyn i

przyrządów wyimaginowanych jak np. *marzeniomierz* czy *marzelnia*, których był oryginalnym wynalazcą i użytkownikiem.

Zauroczył go też prąd elektryczny. To on kazał zagorzałemu humaniście i onomaście poświęcić wiele znoju i nabyć fachową wiedzę naukową z dziedziny elektryczności oraz włączyć ją do swojego poetyckiego sztafażu.

Nie zdziwi nas więc szczegół, że w tropikalnym klimacie Kamelopardii najsłuszniej zamontowano w pancerzach *„elektryczny obwód ochładzający”*.

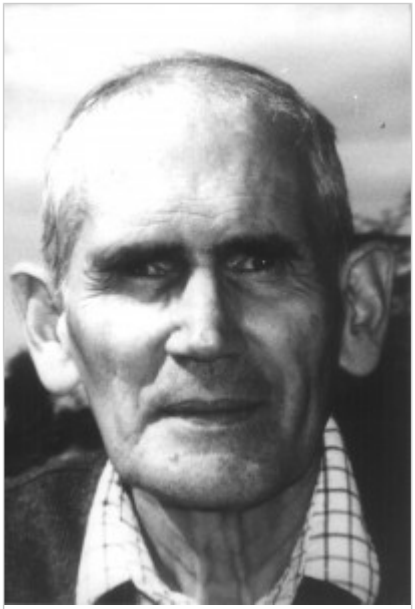

Bogumił Witalis Andrzejewski

Gdzie indziej *„ścieżka elektryczna łączy odludzie”*, a

(klechdy mówią)

o woltomierzu nagrobku

martwą głoszącym wskazówką

równowagę śmiertelną

różnoimiennych sił

Ładnie nazwany *„galwaniec elekroliz jest zlizywaczem/ miodów z szlachetnych metali”.*

Jest mowa o stacjach nadawczych, o napięciu, o przełączniku. Dziewczynom *„w elektrostazie /żarzą się w oczach figlarne druciki/ naładowane bardzo dodatnio”.*

Policjant to *„bezpiecznik w ulic obwodzie przeciwko żarom/ zbyt*

wielkich napięć zatknięty”.

Jest też sposób, by pozbyć się uciążliwych dolegliwości:

Bogumił Witalis Andrzejewski, karykatura, Krystyna Sadowska 1944 r.

…suma jarząca (latarń)

wróci myślom przewodność

jaźni utracona drożność

Poeta podpatrzył dziwy:

w prądnicy nerwów

zwoje ogromne

przekładnie, zasuwy i rygle.

Tak jak tramwaje potrzebują mocy, by powrócić do zajezdni, tak człowiek musi mieć energię, by przeżyć dzień:

mocy trzeba

na wyrób prac powszednich

żeby każdy dzień trudny

pod wieczorną remizę przytoczyć.

Wymagana jest ostrożność, bo lada chwila może nastąpić krótkie spięcie, wybuch i pożar, zastój. Dlaczego? Bo

w tunelu milczy

obciążony transformator

Choć poeta rozsiał w swoich wierszach cały słownik pojęć związanych z elektrycznością, ale w jednym utworze dał skoncentrowany asortyment, aby przestrzec młodych przed pochopną rozrzutnością, a zachęcić do oszczędzania prądu:

PRZESTROGA MŁODYM

kiedy był młody

latał jak głupi

od anody do katody

energię podbierał

z prądnic i baterii

ażeby mieć fundusze

na różne fanaberie

na pola magnesowe

chadzał jak na stronę

i skakał i pląsał

jak rubaszny jonek

reguła lewej ręki

była jemu prawem

w ten sposób pragnął zdobyć

pieniądze i sławę

żal mu dziś tego bardzo

że tak żwawo fikał

bo burczy mu w przewodach

i po zwojach strzyka

i teraz ku starości

musi siedzieć w domu

bo prądu ma za mało

a za dużo ohmów

Tym dowcipnym wierszem z tomiku *„Na wszelki wypadek”*(1952) zamykam temat elektryczności i zapraszam do samodzielnego uraczenia się Andrzejewskiego egzotyczną *”Podróżą do krajów legendarnych”* (1985, 2000).

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w styczniu 2005 r.

Uczeń Stanisławskiego

University College Cork – National University of Ireland, Cork, fot. Denis LeGourrierec

Florian Smieja

Irlandię odkryłem w kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. I, jak to często w życiu się zdarza, był to czysty przypadek.

Wraz z innymi polskimi kombatantami, którzy znaleźli się na Wyspach Brytyjskich, starałem się uzupełnić swoje wykształcenie. Najpierw udało mi się zapisać na kurs gimnazjalny prowadzący do małej matury.

Nie przyszło mi wcale tak łatwo dostać się na ten kurs, gdyż służąc w Sekcji Badań Przydatności przy ośrodku szkolącym załogi pancernych pojazdów, stałem się, mimo kończących się działań wojennych w Europie, niezbędny. Miałem ładne pismo i odręcznie prowadziłem ewidencję badanych w książce, która przeznaczona była do muzeum. Przełożeni ani myśleli, by pozbyć się pracownika, do którego przywykli. A to, że starszy strzelec miał ambicję kończyć gimnazjum, a równocześnie bronił się przed pójściem na podchorążówkę, to dowódcę nie przejmowało w najmniejszym stopniu. Nic więc dziwnego, że kiedy nadszedł telegram informujący o przyjęciu na kurs, kierownik po prostu

pisma nie doręczył. Na szczęście, powiedział mi o tym kolega pracujący na poczcie. Interweniowałem natychmiast u oficera oświatowego, przekonałem go i do Szkocji pojechałem.

W małej miejscowości w dawnej fabryce zakwaterowano ochotników, którzy ukończyli co najmniej dwie klasy gimnazjum przed wojną i w przyspieszonym tempie przygotowywali się do zdawania małej matury.

Tymczasem skończyła się wojna i ze świadectwem ukończenia gimnazjum można się było starać o miejsce w liceum, kiedy perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego założone w Glasgowie a potem przeniesione do Crieff po kilkuletnim pobycie tam rozpoczynało rok szkolny w Bridge of Allan koło Stirling. Kilkuset byłych polskich żołnierzy, lotników i marynarzy z dodatkiem garstki cywilów zaczęło z ufnością i wielkim zapałem naukę w byłym obozie wojskowym. Korzystając z pomocy znakomitych i entuzjastycznych nauczycieli, próbowaliśmy nadgonić stracony czas. W miarę jak Brytyjczycy likwidowali obozy, by wrócić właścicielom zarekwirowane tereny, trzeba się było przenosić dalej, zazwyczaj na północ. Wylądowaliśmy w końcu w odległym Garelochhead na wzgórzach okalających zatokę, w której stały wielkie okręty Royal Navy. Opuszczone przez marynarzy tzw. beczki śmiechu stały się naszym kolejnym domem.

Tam, w rojnej i dynamicznej społeczności szkolnej doczekałem się egzaminu dojrzałości. Obóz oferował rzadkie na one czasy atrakcje w postaci odczytów, wieczorków literackich, gazetkę obozową a nawet ambitne wystawienie komedii „Dożywocie” Aleksandra Fredry.

Potem ze świadectwem w ręku ruszyliśmy w świat. No, nie zupełnie. Trzeba było rozglądnąć się za jakimś praktycznym zawodem. Kolega pochodzący z mojej wsi był piekarzem i cukiernikiem więc wnet znalazł pracę i wyjechał do Londynu. W liceum próbowałem naprawiać zegarki, ale to była zabawa raczej niż poważne zajęcie. Zapisałem się więc na kurs dla rybaków dalekomorskich, bo nęciła obiecywana dobra płaca, która rokowała nadzieje na oszczędzenie pieniędzy na studia wyższe. Kursu nie ukończyłem, bo po kilku dniach w obozie w Aberdeen, zostałem powołany do Irlandii.

Dostać się na uniwersytet brytyjski nie było łatwo, gdyż uniwersytetów było niewiele a po zakończeniu działań wojennych garnęły się do nich rzesze Brytyjczyków wracających do cywila z wszystkich teatrów wojny. Ponadto, studia humanistyczne, które były dla mnie najbardziej atrakcyjne, nie były dla cudzoziemców pragnących się osiedlić w Zjednoczonym Królestwie. Praktyczni Brytyjczycy założyli Polish University College przy Uniwersytecie Londyńskim, aby pewną ilość Polaków wykształcić na inżynierów i ewentualnie ekonomistów. Ten kierunek handlowy był jakby

najbliższy humanistyce i stanąłem do egzaminu konkursowego. Moja siedemnasta lokata nie wystarczyła jednak, by się zakwalifikować. Okazało się, że byli równiejsi ode mnie, ja byłem młody, mogłem poczekać.

Chodziłem po Londynie szukając innych możliwości studiowania. Funkcjonowało wtedy jakieś polskie biuro, które dysponowało kwestionariuszami ankiet przeprowadzanych wcześniej w różnych szkołach i obozach. Pamiętam, jak stroiliśmy sobie żarty z tego rodzaju badań i na pytania z towarzyszącymi sugerowanymi odpowiedziami wybieraliśmy najbardziej nieprawdopodobną i śmieszną. Nie mogłem liczyć na poważne szanse w takich instytucjach.

Istniała także polska katolicka organizacja Veritas. Jednym z jej celów było pomaganie ludziom, którzy chcieli studiować humanistykę. W porozumieniu z zainteresowanymi uniwersytetami irlandzkimi kwalifikowali oni kandydatów, którzy uzyskując miejsce w uczelni otrzymywali bez trudu brytyjskie stypendium dla byłych wojskowych. Moje świeże świadectwo z bardzo dobrą oceną z języka łacińskiego sprawiło, że dostałem się na listę studentów obiecawszy, że oprócz łaciny wezmę także grekę. Słowa dotrzymałem.

Trzy lata spędzone w południowej Irlandii w mieście Cork były okresem spokojnych, przyjemnych studiów. Mała uczelnia,

prowincjonalne miasto, sąsiedzkie stosunki z przychylną ludnością ` pozwoliły grupie byłych żołnierzy odetchnąć i zyskać dyplomy, które pomogły czy nawet umożliwiły później otrzymanie godziwego zatrudnienia w obranej specjalności.

W odległej i izolowanej przez wojnę Irlandii stanowiliśmy egzotyczną i atrakcyjną grupę. Starsi od zwyczajnych studentów, obieżyświaty z doświadczeniem wojennym wśród zielonej lokalnej młodzieży, cieszyliśmy się zainteresowaniem środowiska i mieszkańców miasta, które okazało nam wiele życzliwości i pomocy. Byliśmy zapraszani do domów i instytucji, kwitła przyjaźń polsko-irlandzka. W naszym polskim domu gościliśmy chętnie szczerych przyjaciół wśród których był kapitalny ksiądz Murphy, brat łata, dobry człowiek i nadzwyczajny gawędziarz.

Pamiętam jeden z jego kawałów ilustrujących irlandzką specyfikę. W ciemnej uliczce rabuś zatrzymał mężczyznę. Kiedy ofiara odpięła płaszcz, by sięgnąć po portfel, złodziej zobaczył księżowską koloratkę i zaczął przepraszać, że nie wiedział, kogo zatrzymuje. Ksiądz sięgnął z kolei po cygaro, by je opryszkowi zaofiarować. Ten jednak odmówił przyjęcia tłumacząc, że jest post a on w czasie postu nie pali. Tyle kawał. Ten miły ksiądz słynął z dobrego serca i ludzie chodzili do niego po wszystko. Raz zjawił się mężczyzna prosząc go o buty. Ksiądz tłumaczył się, że jedyne buty, które posiadał były te, które miał na nogach. Przybysz spojrzał na nie i powiedział, że te mogą być.

Niektórzy Irlandczycy zaczęli nawet przyglądać się bliżej językowi polskiemu, kilka osób zaczęło brać lekcje prywatne, aby pokazać, że Polacy nie są im obojętni.

Wśród nich znalazł się młody chłopak o imieniu Terry. Ciekawili go i imponowali mu obcy przybysze i ich osobliwy, szeleszczący język. Potrafił się godzinami przysłuchiwać jego dźwiękowi i nieraz zafascynowany stał albo siedział w pobliżu Polaków rozmawiających z sobą. Często przepędzaliśmy go darząc z żartów przeróżnymi epitetami, których on się w lot nauczył i powtarzał je ku konsternacji polskich studentek, które się także w Cork pojawiły.

Terry zaopatrzył się w podręcznik do nauki polskiego dla Szkotek napisany przez J.A.Teslara i wyuczył się z niego wielce pomocnego w konwersacji zdania ‘ Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika’. Po czasie nabył też słownik Jana Stanisławskiego, drukowany w Wielkiej Brytanii przez Minerva Publishing Co.Ltd. w Londynie w 1940 roku, który stał się dla niego pasjonującą lekturą.

Wtedy mógł zaskakiwać nas raz po raz nowo nauczonymi słowami i zwrotami.

Gościł często w naszej bursie położonej nad kanałem niedaleko uniwersytetu. Lubił polskie dania i uwielbiał kluski. Wtedy prosił

kredencerza o podlewę. Po burzliwej nocy pytał nas, czyśmy słyszeli gromobicie . Raz kiedy szukaliśmy korkociągu, by otworzyć butelkę wina, Terry z wiecznie uśmiechniętą miną sięgnął do kieszeni i wręczając go nam oświadczył, jak na dobrego ucznia Stanisławskiego przystało: „Ot grajcarek. Kupiłem go niedawno u lokalnego żelaźnika”. A kiedy indziej tłumaczył spóźnienie tym, że miał pogwarek ze swoja lubownicą, która mu ciągle stroiła firleje, bo zamiast pójść wreszcie z kotką do konowała, wolała odwiedzić swoją kabalarkę.

Z entuzjazmem opowiadał nam o postępach w języku polskim i wiedzy o naszej kulturze i przeszłości. Czytał więc o gwiaździarzu Koperniku, znał książkę angielskiego autora o komponiście Chopinie, słyszał o statyście Mikołajczyku a nawet o gazeciarzu Mieroszewskim. Kiedy któryś z naszych studentów chciał zapalić papierosa, Terry z miejsca oferował swoje siarniczki. Jeżeli przychodził do naszego domu w czasie dnia, pytał czyśmy już zjedli podkurek, czy nie zjawiając się o takiej porze nie robi jakiej pochyby. Chwalił się, że akurat pocztarz przyniósł mu list z kontrefektem przyjaciela, który był w Londynie templariuszem, ale miał wkrótce już swoje studia skończyć i nareszcie zarabiać przyzwoity prowent, bo żmindackie stypendium mu się sprzykrzyło.

Terry miał niewątpliwy talent do języków i został w końcu profesorem romanistyki. Jest nadal przystępny i jego kopystka

chętnie was z nim umówi na komeraże.

Terminowanie u Stanisławskiego nie poszło na marne.

Florian Śmieja przed Uniwersytetem w Cork (1947-1950)

——————————

prof. Florian Ludwik Śmieja, specjalność: iberystyka, wyjechał z Polski w1943. Studia: University College Cork, National University of Ireland (Bachelor of Arts 1950); King's College, University of London (Master of Arts 1955, Doctor of Philosophy 1962). University of London: School of Slavonic and East European Studies 1950-54 (asystent), School of Economics 1958-63 (asystent 1958-60, doc. 1960-63); University of Nottingham 1963-69 (doc.); University of Western Ontario w London, Kanada 1969- (gościnny prof. nadzwyczajny 1969-70, wielokrotny kier. Zakładu Iberystyki 1970-91, prof. 1970-91, Professor Emeritus 1991); prof. gościnny na Uniwersytecie Jagiellońskim 1974, Wrocławskim, Opolskim, Ostrawskim i Wileńskim 1991- . Publikacje: edycje 3 sztuk hiszpańskiego Złotego Wieku; kilkadziesiąt artykułów naukowych m.in. w: „Slavonic Review", „Queens Slavic Papers", „Modern Language Review", „Philological Quarterly", „Bulletin of Hispanic Studies", „Revista de Literatura", „Hispanófila", „Hispanic Review", „Estudios Segovianos", „Archivo Hispalense", „Estudios", „Revista Canadiense de Estudios Hispánicos", „Kwartalnik Neofilologiczny", „Pamiętnik Literacki". Tomiki poezji: *Czuwanie u drzwi* 1953, *Powikłane ścieżki* 1964, *Kopa wierszy* 1981,

Wiersze 1982, *Jeszcze wiersze* 1984, *Przezorność czasu* 1992, Ziemie utracone 1994, *Mały wybór wierszy* 1994, *Wśród swoich* 1998, *Wiersze wybrane* 1998, *Niepamiętanie* 1999; wiersze w antologiach i opracowaniach. Przekłady poezji, prozy i sztuk hiszpańskich.

Jan Stanisławski (1893 – 1973), anglista, leksykograf; 1928-39 i 1945-58, lektor języka angielskiego na Uniwersytecie Jagielońskim. W 1939 roku wywieziony do Sachsenhausen-Oranienburga. Po powrocie do Krakowa brał udział w tajnym nauczaniu uniwersyteckim. Wydał podręczniki, m.in. Gramatyka języka angielskiego (t. 1-2 1950-51), Wielki Słownik Angielsko-Polski i Polsko-Angielski, wydany w Londynie w 1940 roku (przyp. red. na podstawie Encyklopedii Powszechnej PWN).

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" w Toronto, styczeń 2003 r.

Już nie napisze

Florian Śmieja

Stefaia Kossowska, fot. Archiwum Emigracji

W 2003 roku pod Londynem w wieku 94 lat zmarła Stefania Szurlej-Kossowska, wdowa po znanym malarzu Adamie (1905-1986). Wybitna dziennikarka i pisarka była ostatnią redaktorką historycznego już tygodnika literackiego

„Wiadomości”, który prowadziła po śmierci jego założyciela, Mieczysława Grydzewskiego i jego następcy, Michała Chmielowca, aż do zamknięcia pisma w 1981 roku.

Dzięki jej przezorności całe archiwum „Wiadomości” znalazło stałe schronienie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie stanowi nie tylko dodatkową atrakcję biblioteki, ale przede wszystkim jest bogatym źródłem wiedzy dla studentów i pracowników naukowych.

Stefania Kossowska na rysunku Feliksa Topolskiego, fot. Archiwum Emigracji

Współpracowałem z Kossowską dorywczo jeszcze w „Wiadomościach”, a później, częściej, w „Środzie Literackiej”, miesięcznym dodatku do londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Była to współpraca przyjemna, dająca wielką satysfakcję, gdyż Kossowska potrafiła do końca pisać listy i notatki do swoich współpracowników i pięknie teksty dobierać, składać i przyozdabiać ilustracjami.

Kiedy skończyła 93 lata postanowiła zrezygnować z ulubionego zajęcia i przenieść się do polskiego ośrodka w Kent. Tam ją odwiedziłem w maju 2003 roku. Zawiozła mnie do niej Heide Bujnowska, która bardzo chciała poznać sędziwą redaktorkę.

Zastaliśmy ją w jej jasnym, dwupokojowym mieszkanku na pierwszym piętrze domu tonącego w kwiatach i angielskiej zieleni. Na stole leżały książki i czasopisma polskie, które regularnie czytała. Z dalekich krajów telefonowali przyjaciele.

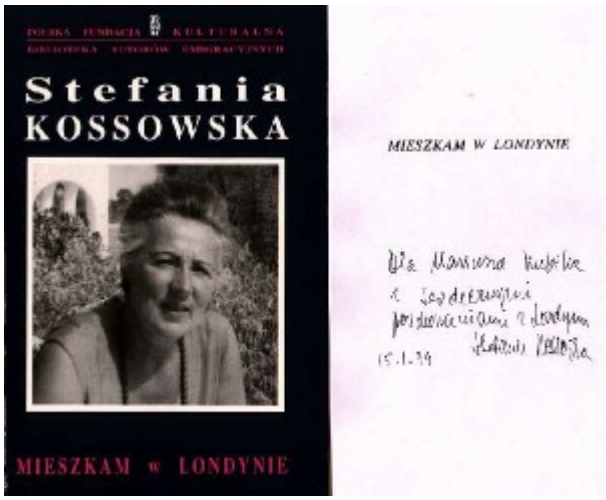

Pani Stefania wyglądała uroczo. Pełna była życia i energii. Cieszyła się z wizyty i zasypywała pytaniami i informacjami. Kiedy wspomnieliśmy Herberta, nie omieszkała napomknąć, że książka Siedleckiej „Pan od polskiego”, jej zdaniem, nie była dobra, gdyż autorka nie

przeprowadziła koniecznej selekcji przytoczonych źródeł. Zapamiętałem, że bardzo chwaliła powieść „Pogranicze” Hanny Świderskiej. Podzieliła się anegdotą o Jerzym Pietrkiewiczu, którego poznała jeszcze przed wojną w redakcji „Prosto z mostu”.

Przy pożegnaniu wręczyłem jej moją książkę „Zbliżenia i kontakty”, traktującą głównie o pisarzach i redaktorach emigracji niepodległościowej. Uradowała się i obiecała o niej do mnie napisać.

Już nie napisze, niestety. Zmarła 15 września 2003 roku.

Stefania Kossowska wraz z Wacławem Iwaniukiem, fot. Archiwum Emigracji

Stefania Kossowska w redakcji „Wiadomości”, fot. Archiwum Emigracji.

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, 2003 r,

---

Irlandka B.G. MacCarthy

(1904-1993) – niezapomniany pedagog

B.G. McCarthy

Florian Śmieja

Małe instytucje nie radzą sobie z indywidualnościami, jeśli kapryśny los je nimi obdarzy. To, co mogło stać się wielką szansą i wybiciem na czoło, nieraz bywa zaprzepaszczane i niedostrzegane a często nawet pomniejszane i zwalczane. Taka była dola, moim zdaniem, Bridget G. MacCarthy, profesora irlandzkiego uniwersytetu w Cork, kobiety nieprzeciętnej. Napisała ona wybitną książkę, zanim feministki zorientowały się w nośności jej tematu. Była forpocztą, za którą długo nie było następców.

Jeden z dwu artykułów prasowych, jakie się ukazały w rodzinnym mieście autorki z okazji jej śmierci, pióra dziennikarki Mary Leland, zaczyna się mało życzliwie. “Przez lata pocieszałam się przeświadczeniem, że nie uczęszczając na Uniwersytet w Cork, aby studiować filologię angielską, nie miałam B.G.Mac Carthy za profesora.“ Przytoczyła następnie bezkrytyczne, negatywne opinie studentów dodając wprawdzie, że łagodniej o niej wyrażaliby się koledzy po fachu, lecz tym niemniej konkludowała, że “jej okres przeminął nieżałowany w przeszłość, nie wyróżniający się osiągnięciami”.

Tak ją żegnała rodaczka, która jakby ze zdziwionym niedowierzaniem donosiła o wznowieniu zasadniczego dzieła B.G.MacCarthy “The Female Pen” przytaczając niezrozumiałe

pochwały edytorki. No, jeżeli B.G.MacCarthy nie miała osiągnięć, to co dopiero powiedzieć o innych wykładowcach jej uczelni?

Jak to się stało, że książka tak ambitna i na czasie nie została doceniona na świecie i pozostała nieznana w Corku? Tu, sądzę, mamy do czynienia z zazdrością zawodową środowiska nie nadążającego za horyzontami autorki, zemsta przeciętności nad talentem i obojętność wojujących feministek na jej osiągnięcia za odmowę zasilenia ich falangi hałaśliwych aktywistek, za to, że nie szukała sensacji, że była niewyrachowana.

Na jesieni 1947 roku zajechałem do irlandzkiego miasta Cork z gromadką polskich studentów, byłych żołnierzy i cywilów. Byli wśród nich m.in. Wojciech Gniatczyński, Janusz Leszczyński, Ewa Ponińska i Witold Szatkowski, syn Zofii Kossak-Szczuckiej. Zameldowałem się na uniwersytecie, który miał być moją *alma mater* przez trzy lata. Uderzyła mnie niezwykła sytuacja pedagogiczna na uczelni. Na humanistyce cztery katedry filologii łącznie z angielską zajmowały kobiety i to w kraju, który kojarzono z reżimem surowej katolickiej ortodoksji. Choć nie wszystko godne było pochwały, to tak widoczne docenianie intelektu kobiet w owym czasie świadczyło jak najlepiej.

Czterdziestotrzyletnia MacCarthy na katedrze filologii angielskiej znamionowała możliwości, które stały otworem przed młodymi uczonymi.

Urodzona w 1904 roku uzyskawszy licencjat i magisterium w rodzinnym mieście, wyruszyła po doktorat do Cambridge. Napisała rozprawę o Robercie Browningu drukowaną przez London University Press. Natomiast w Cork w 1944 roku wyszła jej książka “The Female Pen“ w dwu tomach, historia pisarek języka angielskiego. Młoda Irlandka stała się jedną z wczesnych obrończyń piszących kobiet, choć sprzeciwiała się, by ją zaliczano do feministek, która upomniała się o docenienie wkładu kobiet w ewolucję powieści angielskiej i domagała się ich równouprawnienia jako pisarek. Te okazałe tomy otrzymałem od niej w podarunku, ale wtedy nie potrafiłem ich docenić, a po latach sprezentowałem je z kolei bibliotece Uniwersytetu w Nottingham, gdzie byłem zatrudniony.

Objąwszy stanowisko profesora w Cork, zdobyła sobie sławę postrachu studentów, bo będąc wybitną uczoną wymagającą wiele od siebie, oczekiwała również sporo od innych, spodziewała się rzetelnego umysłowego wysiłku od swoich słuchaczy. Była znakomitą wykładowczynią, choć miała swoje preferencje. Nie znosiła poezji Byrona. Od niej nabrałem słusznego respektu dla wielkiego talentu narracyjnego Jane Austen.

Mieszkająca z swoją ciotką, ambitna, niezamężna kobieta robiła wrażenie osoby nieprzystępnej. Moim zdaniem, była raczej osamotniona, nie znajdowała w studentach partnerów

intelektualnej przygody, wrażliwych towarzyszy estetycznych przeżyć. Kiedy wykładała, tylko echo jej głosu rozlegało się w amfiteatrze wypełnionym onieśmielonymi studentami. Owszem, była wymagająca, ale czekała na respons, na znak rozumienia, nie lubiła niemoty. Przestraszeni słuchacze z kolei przyczyniali się do utrwalenia legendy o nieużytej wykładowczyni. Panująca cisza była dla obu stron przykra. Pamiętam, kiedy raz B.G. MacCarthy czytała czy raczej recytowała obszerny wczesny pomat angielskiego poety. Kiedy wreszcie skończyła znużona spytała o komentarz. Zapanowała cisza i wtedy odezwałem się przerywając złowieszcze milczenie "Poemat stanowczo za długi". Przelękłem się spontaniczności i apodyktyczności mojego odezwania się, ale pani profesor z łaskawym uśmiechem przytaknęła i ku zdumieniu słuchaczy zgodziła się ze mną "Niestety. Cierpi na dłużyzny".

Deklarując się być miłośniczką prozy angielskiej, sama władała znakomitym, klarownym stylem pełnym humoru i nie stroniącym od ciętych, dosadnych sformułowań. I tak, mówiąc o wykształceniu odebranym przez kobiety w czasach patriarchalnego traktowania ich przez mężczyzn, określiła je jako wykształcenie, które kwalifikowało je na żony i matki w tym świecie a na święte w tym lub przyszłym świecie. Widać, że imponowały jej odwaga i szacunek dla siebie bohaterek powieści Jane Austen, ale nie wahała się określić głupiej dziewczyny "malutkim bezmyślnym zwierzątkiem" i broniła lekkiego

potraktowania jej przez autorkę słowami “dlaczego używać dwuręcznego miecza, aby ściąć główkię motyla”? Na postawie podobnych ocen stał się jasny ideał B.G. MacCarthy – podziw dla nieokiełzanego ducha i odważnego serca.

Nieco później zaprosiła mnie do swojego domu, w którym mieszkała z ciotką. Zacząłem bywać częściej, gdyż zaproponowała mi dawanie jej lekcji języka polskiego, bo zapragnęła się go nauczyć.

Nauka wymagała dużego wysiłku obu stron. Obowiązki uczennicy pedagogiczne i administracyjne nie zostawiały wiele czasu, nauczyciel zaś nie miał kwalifikacji i praktyki, a do tego pomoce były skromne. Nie był dostępny nawet podręcznik Józefa Teslara ze słynnymi zdaniami takimi jak “Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika”. Ale lekcje się odbywały, a uczennica na improwizowanym materiale poznawała powoli zawiłości języka polskiego. Wdzięczna nie zapomniała potem o moim wysiłku, gdyż wielkodusznie w liście polecającym napisała: “Biorąc pod uwagę ograniczone zdolności jego studentów (oprócz niej lekcje brał również profesor filologii irlandzkiej), dobrze świadczy o Florianie Śmieji, że doprowadził nas do momentu pozwalającego nam z pewnym wysiłkiem czytać po polsku i że zaspakajał nasze zaciekawienie polską literaturą, tak że jesteśmy zainteresowani nauczyć się tego trudnego języka, by dotrzeć do estetycznych wartości, o których mówi tak

elokwentnie”.

Zagadnęła mnie kiedyś, czy domyślałem się powodu, dla którego postanowiła nauczyć się polskiego. Tłumaczyła, że to był jej gest przyjaźni i respektu wobec Polaków, którzy nagle po zakończeniu się drugiej wojny światowej pojawili się na irlandzkich uniwersytetach. Podjęła naukę tego trudnego języka i kultury polskiej, o które z takim uporem walczyli przez dwa wieki w imię braterstwa i ludzkiej solidarności. Doceniała naszą postawę i emigracyjną sytuację, a także wysiłki ducha jednego z narodów mniej szczęśliwych, upominających się o godne miejsce na świecie.

B.G. MacCarthy była gorącą patriotką. Za jej życia wybuchło krwawe powstanie w Dublinie, z pobudek patriotycznych, burmistrz Corku umarł śmiercią głodową, ale w końcu większa część wyspy uzyskała samorząd i ogłosiła niezależną republikę.

Jako pedagog nie miała złudzeń, co do zacofania intelektualnego swojego narodu na skutek długoletniej niewoli i wiekowej dominacji i dyskryminacji przez Anglosasów. Swojej ostrej krytyki nie kryła nawet kiedy w roli egzaminatora przyjechał z Oksfordu profesor J.R.R.Tolkien, późniejszy autor “Władcy pierścieni”. Gdy skarżył się na mizerny poziom studentów irlandzkich, bez wahania wskazała Anglików jako właściwych sprawców takiego stanu rzeczy.

Kiedy wyjeżdżałem z Cork, bo zaofiarowano mi asystenturę na Uniwersytecie Londyńskim, na drogę wręczyła mi swoją pierwszą skórzaną teczkę, z którą zaczęła karierę nauczycielską. Długo mi służyła.

Rozeszły się nasze drogi, nim mogłem właściwie ocenić walory tej nieprzeciętnej osoby. Po nieudanym małżeństwie, które zaryzykowała będąc w średnim wieku, nagle enigmatycznie zrezygnowała z kariery akademickiej, której w prowincjonalnym uniwersytecie rodzinnego miasta była niewątpliwie wielką ozdobą. Zmarła w 1993 roku. Ponoć miała oświadczyć, że miała wszystkiego dość.

Myśl, że ja także w jakimś stopniu mogłem przyczynić się do jej niespodziewanej, dramatycznej decyzji, dziś napawa mnie smutkiem.

„Araukana”

w tłumaczeniu Czesława Ratki

Florian Śmieja

W numerze 7-8.2015 „Odry” sygnalizowałem ukazanie się pierwszego tomu hiszpańskiej epopei „Araukana” w przekładzie Czesława Ratki. Teraz doczekaliśmy się drugiego tomu tego zdumiewającego przedsięwzięcia. Tłumacz w jednym z listów obrazuje ogrom pracy „przełożyłem 2241 oktaw i zostało jeszcze tylko 391”.

Gdy wśród rzesz oszołomów, których nieba nam nie oszczędzają, pojawi się nagle olśniewający fantasta, mamy rzadką okazję do niezwyczajnej radości. To takimi fenomenami winne się szczycić społeczeństwa chcące uchodzić za cywilizowane. Dlatego ogromnie się cieszę, że mój krótki wypad do Polski w maju 2015 obok zdobycia rzadkiego dyplomu i hiszpańskiego orderu, pozwolił mi poznać w ostatnim dniu mojego pobytu, heroicznego tłumacza „Araukany”, Czesława Ratkę. Jego niezwykłość polega na tym, że odebrawszy zrozumiałe na Śląsku wykształcenie i wykonując wyuczony zawód inżyniera, nie kontentował się, ale

poszedł za głosem serca i poświęcił się jego trudnym, ale wzniosłym namowom. Przyswoił sobie w konsekwencji piękną mowę kastylijską, by przełożyć na kunsztowny język polski zacną epopeję przedstawiającą dumne zmagania bitnych plemion indiańskich z konkwistadorami Nowego Świata. Te piękne królewskie oktawy, które nam Ratka stwarza, najlepiej świadczą o jego zwycięskiej przewadze w tak ambitnym zmaganiu. Chylę czoła przed jego wspaniałym przedsięwzięciem. Swój przekład zaczyna tak:

Nie o miłości śpiewam, nie o damach

Nie o konkurach szlachetnych rycerzy,

Nie o ich troskach, czułościach, staraniach,

Ani o głębi ich miłosnych przeżyć,

Lecz o odwadze i o dokonaniach

Owych walecznych hiszpańskich żołnierzy,

Którzy na karki wolnych Araukanów

Włożyli jarzmo po krwawym zmaganiu.

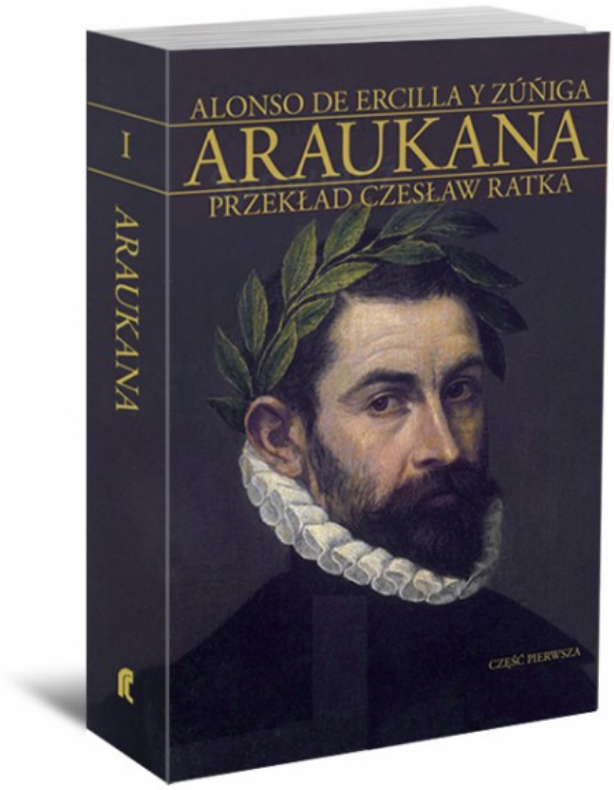

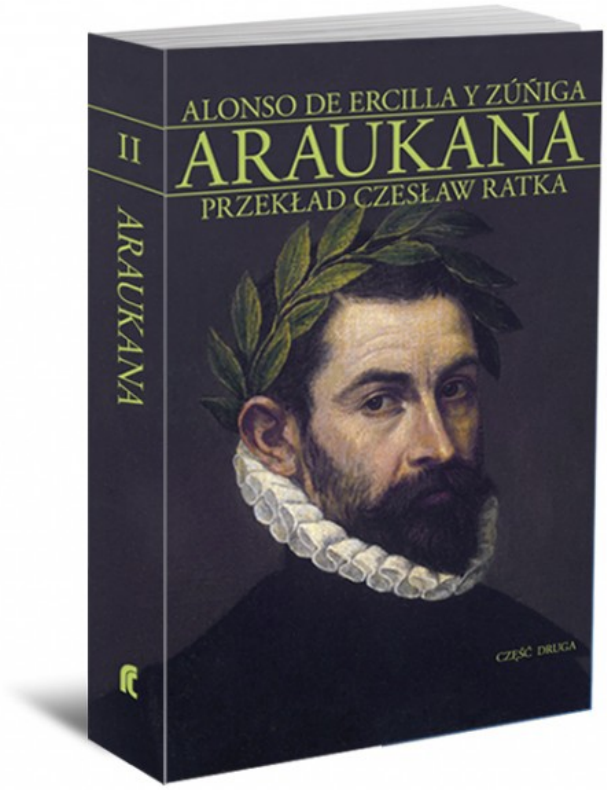

Od tłumacza i wydawcy

Wszystko, co napisałem w tekście Od tłumacza dołączonym do mojego przekładu części pierwszej Araukany, również w części drugiej zachowuje swoją aktualność; dlatego ograniczę się tu jedynie do pokazania różnic między nimi. Pierwsza przedstawia przebieg zbrojnego zrywu chilijskiego plemienia Mapuczów (w epopei nazwanych Araukanami) przeciwko inwazji Hiszpanów do czasu przybycia Ercilli do Chile – czyli znany mu jedynie z opowiadania innych osób; druga jest jego relacją o tym, w czym osobiście wziął udział. Pierwsza jest spontaniczną reakcją

młodego wrażliwego człowieka na falę nowości zewsząd atakującą jego zmysły i pobudzającą wyobraźnię; druga jest efektem głębszych przemyśleń, po części inspirowanych, być może, głosami krytyki.

Poeta tworzył pierwszą część Araukany przez dwanaście lat. Jej publikacja przyniosła mu uznanie i sławę, a tym samym zachętę do tworzenia następnych pieśni. Praca nad drugą częścią (pieśni XVI-XXIX) trwała kolejnych dziewięć lat i kiedy wreszcie doszło do jej wydania (w roku 1578), od zakończenia walk upłynęło już lat dwadzieścia. Tymczasem w Europie działy się sprawy bliższe ówczesnemu czytelnikowi i bardziej niż wydarzenia chilijskie istotne dla jego przyszłości. Sukcesy militarne Filipa II, a szczególnie zwycięstwo w bitwie pod Lepanto – największej bitwie morskiej wszech czasów – pozwalające mu lepiej zapanować nad Morzem Śródziemnym i przyhamować ekspansję Imperium Osmańskiego, zdawały się sytuować Hiszpanię na pozycji najpotężniejszego państwa na świecie – i tym zapewne żyli wtedy jej mieszkańcy.

Ercilla, uznany i ceniony poeta, świadomy ciążącego na nim obowiązku pisania o sprawach aktualnych i ważnych dla kraju i króla, a jednocześnie niedopuszczający myśli, że mógłby nie wywiązać się z danego słowa i porzucić niedokończoną Araukanę, stanął przed problemem znalezienia sposobu uwiecznienia piórem jednego i drugiego. Postanowił opisać

wszystko razem – w jednej księdze. Pomysł połączenia w nowym tomie wątków przesuniętych względem siebie o dwie dekady, których nie łączą z sobą ani postaci bohaterów, ani miejsce akcji, ani żadna intryga, stanowił dla pisarza nie lada wyzwanie. Zabieg ten miał mu wszakże przynieść coś więcej niż tylko możliwość urozmaicenia treści poematu, zawężonej w części pierwszej do tematyki wojennej (nad czym sam nieraz ubolewa, choć pewnie z niemałą dozą kokieterii w stosunku do czytelnika); miał mu stworzyć okazję do popisania się swym warsztatem pisarskim przy splataniu w jedną spójną całość tak bardzo nieprzystających do siebie treści. Spoiwem literackim dla nowej kompozycji utworu miała się stać ingerencja czynnika nadzwyczajnego (magii), nierzeczywistego (marzeń sennych), nadprzyrodzonego (bóstw, bytów mitologicznych, zjaw niebiańskich, a nawet – co zaskakujące w tym otoczeniu – samego Boga), wpływająca na losy śmiertelników, bohaterów eposu, i przekształcająca wierszowaną relację, jaką była część pierwsza Araukany, w dzieło literackie zawierające w sobie wszystkie elementy epopei klasycznej.

Nie chcę, bo nie taka jest rola tłumacza, wypowiadać się na temat sztuki pisarskiej autora, bogactwa leksykalnego i frazeologicznego, różnorodności figur stylistycznych i środków wyrazu, jakości wiersza i rymów ani na temat kompozycji dzieła − niech wystarczy moje zapewnienie, że z reguły oprócz przeniesienia treści oryginału na grunt języka polskiego dążę do

powtórzenia w tłumaczeniu wszystkich form i struktur obecnych w danej oktawie – oczywiście, na ile jest to możliwe (na przykład rymy homonimiczne, których zastosowanie w tłumaczeniu w miejscu ich wystąpienia jest praktycznie niemożliwe, stosuję przy najbliższej nadarzającej się okazji, by pokazać, że są używane przez autora). Osobom zainteresowanym porównaniem przekładu z oryginałem proponuję wizytę na jednej z licznych witryn internetowych prezentujących tekst Ercilli. Sam opierałem się na cyfrowej wersji całościowego (obejmującego wszystkie 37 pieśni) wydania chilijskiego z roku 1910 , dostępnej pod adresem: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes , oraz na niedawnym wydaniu książkowym w opracowaniu Isaiasa Lernera . Oba źródła bazują na wydaniu licencjata Castro z roku 1597.

Pamiętam, że prawie pół wieku temu, kiedy zaczynała się moja fascynacja historią podboju Ameryki, natrafiłem w jednej z lektur na wzmiankę o istnieniu trzyczęściowej wierszowanej relacji z walk Hiszpanów o opanowanie terytoriów chilijskich, noszącej tytuł La Araucana, napisanej przez Alonsa de Ercilla. Nie przypominam sobie dziś tytułu tamtej książki ani jej autora, istotna jest jednak opinia o Araukanie, jaką tam przeczytałem, ponieważ podobną lub wręcz taką samą spotykałem później kilkakrotnie również u innych autorów. Otóż pierwsza część Araukany była tam oceniana jako interesująca, druga – jako mało wiarygodna, gdyż autor niepotrzebnie miesza fakty historyczne z wątkami nierzeczywistymi i mitologicznymi, zaś trzecia została uznana za zbiór nieistotnych informacji na różne tematy. Nie

ukrywam, że dla mnie, poszukującego wówczas tekstów na temat wypraw odkrywczo-zdobywczych z pierwszej ręki (relacji ich uczestników), taki sposób przedstawienia Araukany nie zachęcał do sięgnięcia po nią. Nie pomyślałem, że mam do czynienia ze spojrzeniem historyka (nie miłośnika literatury pięknej) i że ktoś piszący o jej wartościach literackich miałby o niej zdanie diametralnie inne. Problem polegał jednak na tym, że nie było innych opinii. Nikt się na temat Araukany nie wypowiadał, bo mało kto wiedział w ogóle o jej istnieniu. Krążyła więc tu i ówdzie powtarzana bezrefleksyjnie jedna ocena (jak przytoczona wyżej), utrwalająca jej fałszywy obraz. Uzupełniały ją czasami tendencyjne i całkowicie zmyślone plotki o jej autorze.

By nie być gołosłownym, wspomnę tylko, że jedno z owych pomówień mających deprecjonować osobę autora głosi, iż Ercilla – skazany przez Garcię Hurtado de Mendoza, gubernatora Chile, na karę śmierci za udział w pojedynku (zamienioną później na wygnanie) – motywowany ponoć chęcią osobistego odwetu na gubernatorze, celowo nie wymienia go w poemacie ani razu. Tymczasem w części pierwszej znajdujemy o don Garcii dwie oktawy pełne pochwał (XIII, 13-14), w części drugiej jest on wymieniony z imienia siedem razy, zawsze w pochlebnym tonie – ponadto wygłasza zajmującą sześć oktaw mowę do żołnierzy, by zachęcić ich do walki – a w części trzeciej jest bohaterem siedmiu oktaw, z których cztery to kolejna przemowa. Jest więc rzeczą zdumiewającą, że choć rozpowszechnianie wyssanej z

palca sensacji o rzekomym uprzedzeniu Ercilli do gubernatora demaskuje tego, kto o tym pisze, że książki nie czytał, jeszcze i dzisiaj niejeden z piszących o Araukanie podaje ją jako pewnik. Smaczku sprawie przydaje fakt, że madryckie wydanie Araukany z roku 1578 zawierało wśród sonetów komponowanych zwyczajowo przez osoby chcące pochwalić dzieło i jego autora sonet autorstwa Garcii Hurtado de Mendoza . A zatem jego stosunki z Ercillą były wówczas więcej niż poprawne. Jak widać, Araukana ciągle czeka na rzetelny osąd.

Mimo iż Ercilla zapewnia, że przedstawiane przez niego wydarzenia są zgodne z faktami, nie próbowałbym szukać w Araukanie źródeł prawdy historycznej. O wartości tego utworu stanowią jego walory literackie. Już sam Cervantes wystawił im najwyższą ocenę, zaliczając Araukanę do „najpiękniejszych kobierców poezji, jakie ma Hiszpania" i do „najlepszych książek ze wszystkich, które zostały spisane po kastylijsku bohaterskimi wersami i mogą rywalizować z najsłynniejszymi z Włoch" . Mam nadzieję, że moja praca zyska aprobatę polskiego czytelnika, a ten „najlepszy i najsłynniejszy poemat epicki w języku hiszpańskim" − niedoceniany u nas, bo nieznany − doczeka się sprawiedliwej oceny, zaś jego autor zajmie należne mu miejsce wśród największych twórców literackich Renesansu.

Czesław Ratka

Opis książki który znalazł się na okładce II tomu.

Druga część Araukany przedstawia dalszy przebieg powstania chilijskiego plemienia Mapuczów (Araukanów) przeciwko inwazji Hiszpanów. Autor relacji, a zarazem uczestnik opisywanych wydarzeń, hiszpański szlachcic Alonso de Ercilla y Zúñiga, kontynuuje swoją poetycką opowieść o zmaganiach z ludem, który jako jedyny w obu Amerykach zdołał obronić swoje ziemie przed zachłannością konkwistadorów. Od ostatnich walk minęło już jednak dwadzieścia lat, a poeta od dawna mieszkał w Madrycie, gdzie – jak wszyscy – żył atmosferą sukcesów militarnych króla Filipa II, decydujących o mocarstwowej pozycji Hiszpanii w świecie; takich na przykład, jak rozgromienie floty osmańskiej w bitwie pod Lepanto. Mając świadomość wagi bieżących spraw, a jednocześnie chcąc, jak obiecał, opowiedzieć o wojnie chilijskiej do końca, postanowił połączyć oba tematy. Ujęcie w jednej księdze tak nieprzystających do siebie historii (przesuniętych w czasie o dwie dekady i rozgrywających się na różnych kontynentach) stało się możliwe dzięki wzbogaceniu narracji, za przykładem autorów starożytnych, o wpływ czynników pochodzących ze świata nierzeczywistego (magia, marzenia senne, ingerencja bóstw), stanowiących spoiwo literackie dla wszystkich zawartych w nowym tomie treści. W ten sposób wierszowana relacja historyczna, jaką była część pierwsza, nabiera w części drugiej charakteru bardziej literackiego, stając się bliższa epopei klasycznej.

Znajomość najlepszych wzorów antycznych i włoskich nowości renesansowych oraz umiejętne budowanie w oparciu o nie własnego warsztatu pisarskiego, bogactwo treści, języka i form wyrazu stawiają Ercillę w gronie najwybitniejszych poetów epickich w Hiszpanii; jego Araukana – zdaniem Cervantesa – może rywalizować z czołowymi dziełami literackimi włoskiego Odrodzenia.

Prezentowany tu polski przekład części drugiej, obejmującej pieśni XVI-XXIX, jest pierwszym od czasu publikacji hiszpańskiego oryginału w roku 1578.

Opowiadanie Polaka

Miguel Cervantes

tłum. Florian Śmieja

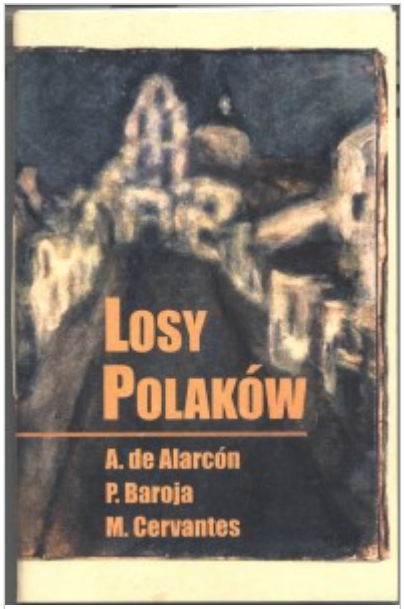

na okładce wykorzystano obraz Wilka Markiewicza.

Pątnicy dostrzegli wówczas opodal na gościńcu zbliżającego się jeźdźca. Kiedy się z nimi zrównał, zdjął kapelusz na powitanie, lecz w tym samym momencie jego konisko potknąwszy się, jak się później okazało, na wyboju, runęło ze swoim panem na ziemię.

Wszyscy natychmiast rzucili się podróżnemu z pomocą, sądząc, że się dotkliwie potłukł. Chłopak Antonio złapał konia (był to wielki ogier) za uzdę, a jego panu pomagano wstać i dano lekarstwo w podobnych wypadkach stosowane: łyk wody.

Stwierdziwszy, że nie odniósł żadnego szwanku, jak się obawiali, powiedzieli mu, że może z powrotem dosiąść wierzchowca i jechać dalej. On jednak odparł:

Waszmościowie, może to zrządzeniem losu spadłem w tym miejscu na ziemię, abym mógł powstać z niebezpieczeństw, w które wyobraźnia uwikłała mojego ducha. Chociaż o to nie pytaliście, pragnę wam oznajmić, że jestem cudzoziemcem i polskiej nacji. Swój kraj opuściłem będąc jeszcze chłopcem i przyjechałem do Hiszpanii, do tej Mekki cudzoziemców i wspólnej matki narodów. Służyłem Hiszpanom, opanowałem język do tego stopnia, jak mnie słyszycie. Gnany powszechnym pragnieniem ujrzenia obcych krajów, pojechałem do Portugalii zobaczyć wielkie miasto Lizbonę. W sam wieczór mojego przyjazdu do tego miasta wydarzył mi się niezwykły wypadek, w który możecie wierzyć lub nie, prawda znajdzie ostoję chociażby tylko w sobie samej.

Zaimprowizowana lecz doskonała przemowa niefortunnego jeźdźca zdziwiła Periandra, Huristelę i pozostałych towarzyszy. Pragnąc więc go wysłuchać, prosił go Periander, aby ciągnął dalej swoją opowieść, gdyż wszyscy mu wierzyli, zarówno powodowani kurtuazją, jak własną znajomością świata.

Pokrzepiony tym na duchu podróżnik mówił dalej:

– Pierwszego wieczoru w Lizbonie szedłem jedną z głównych ulic zwanych tam 'rua’, szukając gospody, bo nie podobała mi się ta, w której stanąłem. W pewnej chwili, kiedy przechodziłem przez wąskie i brudne przejście, jakiś zamaskowany Portugalczyk trącił mnie z taką mocą, że upadłem. Krzywda, jaką mi wyrządził, obudziła we mnie tak szalony gniew, że pomstę powierzyłem szpadzie. Dobyłem jej, a Portugalczyk nie pozostał dłużny, broniąc się dzielnie i zręcznie. Czarna noc i czarniejszy jeszcze los sprzyjając mi sprawiły, że os-trze mojej szpady raziło go w twarz, tak że się odwrócił i runął na ziemię, a dusza uleciała Bóg tylko wie dokąd. Natychmiast strach przywiódł mi mój czyn przed oczy, przeląkłem się i szukałem w ucieczce ratunku. Chciałem zbiec, lecz nie wiedziałem dokąd? Odgłos ludzi, który zdawał się iść za mną, dodał nogom moim skrzydeł, więc nerwowymi susami przemierzyłem ulicę szukając, gdzie by się ukryć lub znaleźć miejsce na otarcie szpady, aby, gdy mnie zatrzyma straż, nie było wyraźnych śladów zbrodni. Nieprzytomny już od strachu ujrzałem światło w okazałej kamienicy i wpadłem do wnętrza sam nie wiedząc, po co. Żnalazłem się w otwartej, pięknie umeblowanej sali. Wszedłem następnie do równie eleganckiego pokoju i wiedziony przez światło płonące w dalszym pomieszczeniu, zobaczyłem w wytwornym łożu damę, która przerażona usiadła pytając kim jestem, czego szukam, dokąd idę i kto mi zezwolił zapuścić się tak daleko bez żadnego respektu?

Odparłem:

– Pani, nie mogę ci odpowiedzieć na tyle pytań, mogę jedynie objaśnić, że jestem cudzoziemcem, który, zdaje się, zabił człowieka na tej ulicy bardziej z powodu nieszczęścia i jego lekkomyślności, niż z własnej winy. Błagam cię na Boga i godność twoją, obroń mnie przed ręką sprawiedliwości, bo sądzę, że jestem ścigany.

– Jesteś Hiszpanem? – spytała po portugalsku.

– Nie, pani – odpowiedziałem jestem cudzoziemcem. Mieszkam daleko od tej ziemi.

– Nawet, gdybyś był waćpan Hiszpanem, obroniłabym ciebie, gdy-by to było w mojej mocy. Obronię cię, jeżeli potrafię. Przejdź przez łóżko i schowaj się za arras w niszy, którą tam znajdziesz. Tylko nie ruszaj się, bo gdy przyjdzie straż, uszanuje mnie i uwierzy w to, co jej zechcę powiedzieć.

Uczyniłem natychmiast, co mi przykazała. Uniosłem arras, znalazłem wgłębienie i wcisnąłem się w nie. Wstrzymałem oddech i zacząłem polecać się opiece Boskiej, jak tylko umiałem. Kiedy pogrążyłem się w tym nastroju, do alkowy wpadł służący wołając:

– Pani, don Duarte, pan mój, zabity. Niosą go tutaj zgasłego odepchnięcia szpadą na wylot przez prawe oko. Nie wiadomo, kim jest zabójca i co było przyczyną starcia, bo nawet szczęku broni nie było słychać. Jedynie chłopak jakiś widział, jak uciekający mężczyzna wbiegł do tego domu.

– To on bez wątpienia jest jego zabójcą – odpowiedziała pani – i nie ucieknie. Ach, ile razy obawiałam nieboga, że zobaczę, jak wnoszą syna bez życia, bo jego butne poczynania nie wróżyły nic innego, jak nieszczęście!

Czterech mężczyzn wniosło na barkach zmarłego i położyło go na ziemi na oczach bolejącej matki, która zaczęła lamentować.

– Ach, zemsto, jak dobijasz się do drzwi mojej duszy! Ale nie stanie się podług twojej woli, bo muszę dotrzymać słowa, choć boleść tak mnie ponosi!

– Wyobraźcie sobie państwo, co czułem, słysząc żałościwe słowa matki, której – tak mi się zdawało – obecność zabitego syna podsuwała tysiące rodzajów zadania mi śmierci, by się zemścić, bo było jasne, że musiała mnie uważać za zabójcę syna. Ale cóż innego mogłem zrobić, niż tylko milczeć i czekać w desperacji. Do pokoju wszedł strażnik, który z uszanowaniem zwrócił sią do pani;

– Kierowani wyznaniem pewnego chłopca, który twierdzi, że do tego domu uciekł zabójca panicza, odważyliśmy się wejść.

Nastawiłem ucha i w napięciu oczekiwałem odpowiedzi nieszczęsnej matki, która okazując wspaniałomyślność ducha i chrześcijańską pobożność, odpowiedziała:

– Jeżeli człowiek ów wszedł do tego domu, to w każdym bądź razie nie do tego pokoju. Możecie go szukać, choć będę prosiła Boga, byście go nie znaleźli, bo źle naprawia się śmierć drugą śmiercią, tym bardziej, jeżeli krzywda nie została wyrządzona ze złej woli.

Strażnicy poszli przeszukać dom, a mój duch wrócił do mnie, bo był mnie już odszedł.

Pani poleciła wynieść ciało syna i przygotować je do pochówku. Nakazała również, by ją zostawiono samą, bo nie czuła się na siłach przyjmować kondolencje i pocieszenia licznych krewnych, przyjaciół i znajomych. Potem zawołała jedną ze swoich panien, widocznie najzaufańszą, i powiedziawszy jej coś na ucho, kazała jej zamknąć za sobą drzwi. Zrobiła tak. Wówczas pani usiadła na łóżku a dotknąwszy arrasu położyła ręce na moim sercu, którego szybkie bicie zdradzała strach, jaki je ogarniał. Kiedy to poczuła, rzekła łagodnie i smutno:

– Człowieku, ktokolwiek jesteś, wiesz, że zabrałeś mi oddech, światło moich oczu i życie samo, które mnie na tej ziemi trzymało Ale ponieważ rozumiem, że stało się to nie z twojej winy, chcę by moje słowo oparło się zemście i dlatego, aby dotrzymać obietnicy, że cię uwolnię, którą ci dałam, kiedyś tutaj wszedł, musisz zrobić to, co ci teraz każę. Zasłoń sobie twarz rękami, abym, jeżeli przez pomyłkę otworzę oczy, nie mogła ciebie w przyszłości rozpoznać. Wyjdź stąd z moją dziewczyną, która zaraz tu przyjdzie. Ona cię wyprowadzi na ulicę i da ci sto escudów w złocie, aby ułatwić ci ucieczką. Nikt cię nie zna, nikt nie podejrzewa. Weź się w garść, bo niepokój zazwyczaj zdradza sprawcę.

Na to weszła panna. Wyszedłem zza arrasu zakrywszy twarz ręką i na znak wdzięczności na klęczkach pocałowałem łóżko w nogach podążając następnie za dziewczyną, która milcząc ujęła mnie za ramię i przez tajne drzwiczki wyprowadziła na ulicę.

Żnalazłszy się tam, najpierw wytarłem szpadę i spokojnym krokiem skierowałem się na główną ulicę, gdzie rozpoznałem moją gospodę i wszedłem do niej, jakby nic się nie przydarzyło. Właściciel opowiedział mi o śmierci rycerza wyolbrzymiając szlachetność jego rodu a także zarozumiałość charakteru, która miała mu stworzyć tajemniczego wroga i przyspieszyła jego śmierć.

Ową noc spędziłem na modlitwie, Bogu dziękując za odebrane łaski oraz na rozpamiętywaniu bohaterskiego i nigdy przedtem nie spotkanego ducha chrześcijańskiego i wspaniałego czynu pani Guiomar de Sosa, bo tak się nazywała moja dobrodziejka. Rankiem pojechałem nad rzekę i zastałem tam łódź pełną ludzi, którzy udawali się na pokład wielkiego galeonu stojącego w Sangian, a mającego płynąć do Indii Wschodnich. Wróciłem do gospody, sprzedałem wierzchowca właścicielowi i spieniężywszy wszystko, co posiadałem, wróciłem nad rzekę do łodzi. Następnego dnia stałem daleko od portu na pokładzie galeonu, który podał żagle wiatrowi i pruł obraną drogą.

W Indiach spędziłem piętnaście lat, służąc jako żołnierz z dzielnymi Portugalczykami. Spotkało mnie tyle przygód, że można by napisać przyjemną i prawdziwą opowieść, głównie o czynach nie zwyciężonego w tamtych stronach narodu portugalskiego, godnych wieczystej chwały naszych czasów i wieków przyszłych. Tam uzbierałem trochę złota i pereł oraz rzeczy o większej wartości niż ciężarze i wróciłem z nimi do Lizbony, korzystając z powrotu do niej generała. Stamtąd wybrałem się w drogę do ojczyzny, zdecydowawszy najpierw zwiedzić wszystkie większe i piękniejsze miasta hiszpańskie. Dobytek spieniężyłem i wziąłem przekazy na wydatki potrzebne w podróży, bo najprzód zamierzałem jechać do Madrytu, do którego niedawno sprowadził się dwór wielkiego Filipa III. Ale fortuna moja, znudzona noszeniem łodzi mojego losu po morzu

życia ludzkiego przy pomyślnym wietrze, zechciała by łódź ta najechała na mieliznę i doszczętnie się tam rozbiła. Żrządziła więc, że pewnego wieczoru przybyłem do Talawery, miejscowości leżącej niedaleko stąd. Za-trzymałem się w pewnym zajeździe, który nie był mi zajazdem, ale grobem, bo tam pogrzebałem mój honor.

O przemożna mocy miłości, miłości, mówię, nieopatrznej, chciwej i źle zamierzonej, z jaką łatwością depczesz po dobrych zamiarach, czystych intencjach, rozsądnych propozycjach! Kiedy więc stałem w owej gospodzie, weszła do niej dziewczyna mająca lat około szesnastu; tak mnie się przynajmniej wydawało, choć później dowiedziałem się, że liczyła dwadzieścia dwa lata. Miała upięty warkocz, a odziana była schludnie w gorset i spódnicę z samodziału. Kiedy przeszła obok mnie, wydało mi się, że pachnie jak kwitnąca łąka w maju i zapach ten, pobudzający zmysły, przewyższał wonie Arabii. Podeszła do pewnego młodzieńca w zajeździe i mówiąc mu coś do ucha parsknęła śmiechem, po czym pokazawszy mu plecy wybiegła z zajazdu do domu naprzeciwko. Chłopak pobiegł za nią, a nie mogąc jej doścignąć, kopnął ją tak, że rymnęła jak długa. Widziała to inna dziewczyna z zajazdu i gniewem uniesiona odezwała się do parobka:

— Na Boga, Alonso, źle robisz, bo Luiza nie zasłużyła na to, byś ją kopał.

— Jako żywo, nie będę jej takich kopniaków żałował — odpowiedział Alonso.

— Zamilcz, droga Martino. Takie żywe panienki zasługują na to, by im nie żałować nie tylko ręki ale i nogi.

To powiedziawszy zostawił mnie z Martiną, którą spytałem, kim jest Luiza i czy jest zamężna, czy nie.

— Jest panną — odrzekła Martina — ale wnet będzie żoną tego Alonsa, któregoś waćpan widział, bo rodzice już się porozumieli w sprawie małżeństwa. Alonso waży się kopać ją, jak tylko mu dokuczy, a tylko bardzo rzadko na takie traktowanie sobie nie zasłuży. Bo jeśli mam być szczera, Luiza jest nieco zuchwała, swawolna no i rozpuszczona. Mówiłam już jej dosyć o tym wszystkim, ale bez skutku. Nie zmieni się, choćby jej oczy wykłuli. Bo zaprawdę najlepszym posagiem, jaki kobieta może wnieść, jest skromność. Bóg zapłać mojej matce, która nie pozwalała mi patrzeć na ulicę nawet przez dziurkę, a co dopiero wychodzić na próg do bramy. Dobrze wiedziała, że, jak zwykła była mówić, kobieta i kura itd. (padają ofiarą wychodzenia z domu, przyp. FS)

— Powiedz mi, pani Martino — odpowiedziałem – jak to się stało, że z surowości owego nowicjatu dostałaś się na szerokie wody zajazdu?

— Dużo by się o tym dało powiedzieć — rzekła Martina, a i ja miałbym więcej o tych sprawach do powiedzenia, gdyby się na to znalazł czas i pozwoliła boleść, którą w duszy noszę.

Z zajęciem słuchali pielgrzymi cudzoziemca i bardzo chcieli dowiedzieć sią, jaką to boleść ów Polak w swoim sercu nosił, gdyż obolałości ciała sami się domyślali. Odezwał się więc Periander:

Opowiedz waćpan, co chcesz i tak obszernie, jak umiesz, bo często szczegóły urozmaicają i upiększają opowiadanie. Toć na uczcie przecież obok pieczonego bażanta stawia się miskę zielonej, świeżej, smacznej sałaty. Sosem każdej opowieści jest szczególny język, w który jest ubrana. Więc ciągnij pan ową historię, opowiedz o Luizie i Alonso, kop Luizę, ile ci się tylko podoba, wydaj ją lub nie wydaj za mąż. Niech będzie swawolna, rozpuszczona jak dziki sokół, bo najważniejszą, rzeczą, podług mojej astrologii, nie jest jej swawola, ale jej dalsze losy.

– W takim razie – odpowiedział Polak – mogę was zapewnić, że z waszym przyzwoleniem dam pod wasz osąd wszystko, co wiem. Skupiwszy cały rozsądek, jakim rozporządzałem, a musiało go być niewiele, przez całą noc rozważałem wdzięk, urok i swobodę tej, jak mi się wydawało, nie mającej sobie równej, sąsiadki czy znajomej mojej gospodyni. Układałem tysiące planów, zbudowałem tysiące zamków na lodzie, żeniłem miałem dzieci i

funta kłaków nie dawałem za to, co o mnie mówiono. W końcu postanowiłem porzucić pierwotny zamiar wyjazdu i pozostać w Talawerze jako mąż bogini Wenus, bo dziewczyna, chociaż bił ją parobek z zajazdu, wydała mi się nie mniej piękna od Wenus. Na tym przeszła noc. Rano zbadałem puls i doszedłem do wniosku, że stracę życie, jeżeli wnet nie poślubię tej chłopki, bo jej oczy zniewoliły mnie zupełnie. Usuwając wszystkie przeszkody, postanowiłem pomówić z jej ojcem i poprosić go o jej rękę. Pokazałem mu perły i pieniądze, chwaliłem swoją przemyślność i gotowość, by bogactwo, nie tylko zachować, ale jeszcze pomnożyć. Te argumenty i widok moich dóbr sprawiły, że stał się miększy od rękawiczki i zgodził się na wszystko, szczególnie kiedy widział, że nie żądam posagu i zadowolę się jedynie urodą córki.

Alonso popadł w rozpacz, a Luiza, moja żona, w gniew, jak to wykazały wypadki, które się wydarzyły dwa tygodnie później, przynosząc mi ból, a jej niesławę. Mianowicie, żona moja zabrawszy część klejnotów i pieniędzy, za namową i z pomocą Alonsa, uciekła z Talawery, zostawiając mnie, żałującego, na pośmiewisko. Przez długi czas nie mówiono w mieście o niczym innym, jak tylko o jej przewrotności i szelmostwie. Krzywda nakłaniała mnie do zemsty, ale nie było na kim się, mścić, chyba na samym sobie. Nieraz brałem do ręki powróz, żeby się powiesić. Los jednak, może w celu naprawienia szkód mi wyrządzonych, sprawił, że ujęto moich wrogów i osadzono w

więzieniu w Madrycie. Powiadomiono mnie, bym przyjechał i postawił ich przed trybunałem. Jadę przeto, by ich oskarżyć i zażądać sprawiedliwości. Jadę zdecydowany, aby krwią zmyć plamy na moim honorze i przez pozbawienie ich życia zrzucić z barków ciężar ich postępku, który mnie przytłacza i niszczy. Muszą umrzeć, jak Bóg na niebie. Na Boga, że muszą się zemścić. Bóg mi świadkiem, że świat cały musi się dowiedzieć, że krzywdy nie darują, a cóż dopiero takiej, która sięga do dna mojej duszy. Jadę do Madrytu. Już się czuję lepiej po upadku i mogę dosiąść konia. Nie przepuszczę nawet komarom! Nie chcę słyszeć ani próśb zakonników, ani płaczu dewotek, ani przyrzeczeń czułych serc, ani darów bogaczy, ani rozkazów wielmożów, ani całego zgiełku, który zwykł w podobnych wypadkach powstawać. Mój honor musi wznieść się nad krzywdą, jak oliwa wypływa na wodę.

To rzekłszy podniósł się szybko i lekko, aby wsiąść na konia i kontynuować wojaż. Widząc to, Periander ujął go za ramię i zatrzymał mówiąc:

– Waszmość, zaślepiony gniewem, nie umiesz dostrzec, że w ten sposób rozniesiesz i powiększysz swoją niesławę. Dotąd jesteś zniesławiony tylko u tych, którzy cię znają w Talawerze, a tych musi być niewielu, a teraz będziesz znany tym, którzy o tobie usłyszą w Madrycie. Chcesz być tym wieśniakiem, co w zanadrzu hodował żmiją przez całą zimą i za łąską Niebios nie znalazł jej,

bo uciekła, kiedy nastało lato, a ona mogła użyć jadu. Wieśniak, nie bacząc na łaskę Niebios, począł szukać tego, czego znalezienie nie wróżyło nic dobrego. Bo głosi przysłowie: 'Uciekającemu nieprzyjacielowi buduj srebrny most', a także: 'Największym nieprzyjacielem mąża jest jego własna żona'. Ale to chyba znajduje usprawiedliwienie u innych wyznań, a nie u chrześcijan; u wyznań, gdzie małżeństwa są pewnego rodzaju układem i ugodą, jak wynajęcie domu czy innej nieruchomości. Wedle wiary katolickiej natomiast małżeństwo jest sakramentem, który jedynie śmierć rozwiązuje lub warunki surowsze od śmierci, zwalniające małżonków od współżycia z sobą, lecz nie rozwiązujące wązła, którym zostali związani. Czyżby waćpan co zyskał, oglądając swych wrogów ujętych przez prawo, związanych i poskromionych na publicznym widowisku dla tłumnej gawiedzi, widząc, jak błyszczące ostrze toporu na szafocie godzi w ich karki? Jakby ich krew potrafiła, jak waćpan mówisz, oczyścić twój honor! Cóż możesz tym zyskać, jak nie powiększenie niesławy? Bo zemsta karze, ale nie usuwa winy. Krzywdy, które nam wyrządzono, jeśli nie zostały naprawione z dobrej i nieprzymuszonej woli, wciąż trwają i żyją w pamięci ludzkiej, przynajmniej, póki żyje osoba pokrzywdzona. Dlatego wejrzyj waćpan w serce swoje i okazawszy miłosierdzie, nie domagaj siec sprawiedliwości. To nie znaczy, że radzę żonie wybaczyć i przyjąć jag z powrotem do domu, bo nie ma takiego prawa, które by do tego zmuszało. Radzę ją porzucić, co jest najciąższą karą, jaką, ją można ukarać. Żyj z dala od niej, a

będziesz żył, co byłoby nieprawdopodobieństwem, gdybyście byli razem, bo ciągle byście umierali. Rzymianie często używali prawa odrzucenia, chociaż godniejszym chrześcijanina miłosierdziem byłoby wybaczyć jej, przyjąć ją, znosić i radzić jej. Trzeba najpierw zmierzyć swoją cierpliwość i poczynać bardzo roztropnie; przymioty to, którym tylko niewielu może zaufać w tym życiu, szczególnie, jeśli są one wystawione na tak ciężka próbę. Wreszcie weź pod uwagę, że popełnisz grzech śmiertelny odbierając im życie, czego czynić nie wolno nawet dla wszelkich korzyści, które światowa sława przynieść może.

Raptus Polak wysłuchał tych rad Periandra z uwagą, a mierząc go od stóp do głów spojrzeniem odpowiedział:

— Waćpan mówiłeś ponad swój wiek. Rozum twój idzie przed latami, a dojrzałość umysłu przed zielonością żywota. Anioł kładł ci w usta słowa, które uśmierzyły moją zawziętość. Nie pragnę bowiem teraz niczego, jak tylko powrotu do mojej ziemi i złożenia Bogu podziękowania za okazane łaski. Pomóż mi wstać, bo jeżeli gniew mi przywrócił siły, nie wypada, by mnie ich zbawiła rozważna cierpliwość.

— Wszyscy chętnie to uczynimy- odparł Antonio, ojciec.

Pomogli mu wsiąść na konia, on zaś uściskawszy każdego oświadczył, że postanowił wrócić do Talawery, by uregulować

sprawy swojego majątku, a potem z Lizbony odpłynąć do ojczyzny. Podał im swoje nazwisko: Ortel Banedre, co po hiszpańsku znaczy Marcin Banedre i polecając się ich pamięci zawrócił w stronę Talawery, zostawiając wszystkich w podziwie dla swoich przygód i umiejętności ich opowiedzenia.

Miguel Cervantes

Opowiadanie pochodzi z książki „Losy Polaków”, trzy opowiadania hiszpańskie w tłumaczeniu Floriana Śmieji, wyd. Silcan House, Mississauga 2003 r., projekt okładki Wilek Markiewiecz.